„Przyjęcie" u szympansów

W każdym ogrodzie zoologicznym małpki stanowią dla dzieciarni największą atrakcję. Te „pocieszne" zwierzęta potrafią często rozbawić do łez zwiedzających. Ale są ogrody, które specjalnie organizują występy małp dla młodych widzów. Tak np. w londyńskim ZOO odbywa się doroczne „przyjęcie" u szympansów. Na kilka dni przed występem małpki trenują m. in. różne śmieszne sposoby jedzenia. Na zdjęciu szympans Al pije słodzone mleko prosto z imbryka. (b)

Foto: CAF-UPI

DZIŚ NA STR. 8

OPERACJA „TURNIEJ"

Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA

Nr 53 (1941) 3 lipca 1970 r. Cena 50 gr

WĘDRÓWKI PRZEZ CZARNY LĄD

Moje wejście na KILIMANDŻARO

na szczycie. Panuje nad całą Afryką. Wysokość góry wynosi 6 000 m npm. Kiedy głęboką nocą jadąc z Dar-es-Salaam do miasta Arusza oglądałem dalekie zbocza Kilimandżaro — bezwiednie zaciskałem kciuki z nadzieją, że to pomoże rozpędzić chmury, jakie w czasie wielkiej pory deszczowej zasłaniają widok góry i utrudniają jej zdobywanie. Pomogło: przyjechałem do Aruszy w sobotę rano, a już w niedzielę po południu zobaczyłem Kilimandżaro w całym jej dostojnym majestacie.

Ciąg dalszy na str. 2

Pewnego dnia ambasador PRL Dar-es-Salaam powiedział mi:

— Chce pan wejść na Kilimandżaro? Obawiam się, że to będzie niemożliwe. Może pan nawet nie zobaczyć Kilimandżaro.

A więc po tylu latach marzeń, po tylu tysiącach mil spędzonych na morzu miałem doznać porażki będąc już tak blisko celu?

KILIMANDŻARO I GIEWONT

KILIMANDŻARO to jedyna góra świata, która na swoim samotnym masywie ma wszystkie piętra wegetacji roślinnej — od pustynnego buszu u podnóży aż po wieczny lodowiec

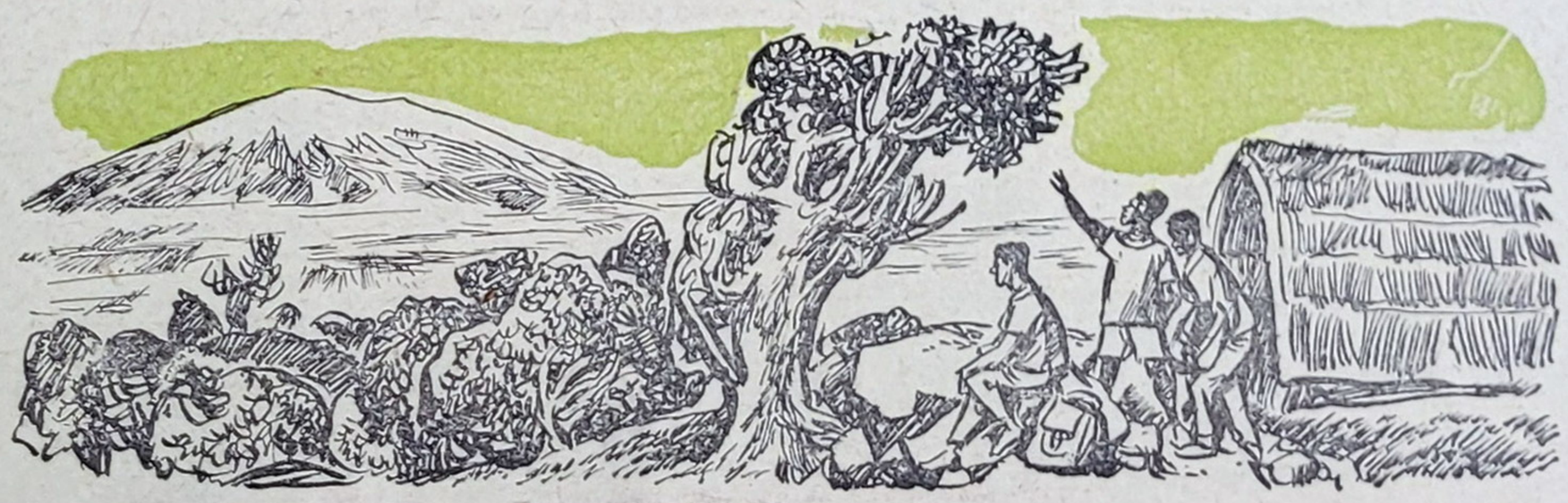

Na tropach LUDZI i ZWIERZĄT

Dwuletni łoś wędrował prawdopodobnie z Puszczy Kampinoskiej. Ścigali go ciekawscy, którzy nigdy nie widzieli wielkiego zwierza z frędzlem brody pod szyją.
Padł na skraju buraczanego pola i więcej już nie miał siły powstać...

Dwa ostatnie wilki zostawiły w nadleśnictwie Ostrów swój trop w styczniu 1958 roku. Nie kłusowały długo, zginęły od kuli myśliwych. Teraz w pokoju nadleśniczego, inżyniera Henryka Gosiewskiego, bieleje czaszka jednego z nich, wyposażona w dwa rzędy niegroźnych już zębów. No cóż, „nosił wilk razy kilka — ponieśli i wilka..."

Wilków u nas nie bywało od dawna — mówi pan nadleśniczy. — Te, które dotarły na skraj Puszczy Białej, przebywały tylko na „gościnnych występach", nie zrobiły więc wielkich szkód.

Zawsze natomiast kłusowali tu... ludzie. Tradycje pod tym względem mamy niepiękne. Teraz wprawdzie kłusownictwa z nielegalną bronią w ręku nie notujemy, ale wnykarstwo nadal jest nagminne na całych Kurpiach.

C. d. na str. 7

Ciąg dalszy ze str. 1

Mój afrykański przyjaciel — pan Jerzy Krokowski postanowił mi pomóc w wyprawie. Bo wejście na Kilimandżaro to prawdziwe „safari", czyli właśnie „wyprawa". Trwa około pięciu dni i osiągnięcie celu w pojedynkę, zwłaszcza dla Europejczyka, jest rzeczą niemożliwą. Góra, na pozór łagodna, przeraża swoim ogromem. Widać ją z odległości 400 km. Przy dobrej pogodzie nawet z wybrzeża oceanu. Używając porównań polskich: gdyby Giewont czy Kasprowy Wierch miały wysokość Kilimandżaro, widziałoby się je z Pałacu Kultury w Warszawie.

Podejmując wyprawę na Kilimandżaro trzeba najpierw ją zgłosić i ustalić termin wymarszu, np. w hotelu „Kibo" lub „Marange", które znajdują się na północ od miasta Meszi, u stóp góry. Tamtejszy przedstawiciel Klubu Kilimandżaro organizuje tragarzy z plemienia Czaga, zamieszkującego południowo-wschodnie zbocza masywu aż do wysokości 2 700 m npm.

Podobnie było i ze mną. Ustalono wreszcie dzień najważniejszego „safari" w moim życiu: 12 maja. Aby zaoszczędzić jeden dzień mozolnego podejścia przez niższe, mało ciekawe rejony, pan Krokowski postanowił samochodem terenowym „Landroverem" podwieźć mnie do takiego punktu trasy, jaką zdoła pokonać silnik wozu. Przed hotelem „Kibo" czekają na mnie dwaj tragarze: Łukasz i Laurenty. Sympatyczni młodzi Murzyni, którzy odbywają taką wyprawę dwa razy w miesiącu. Niestety, przewodnika wziąć nie mogę. Za drogi, jak na moje możliwości. Postanawiam dać sobie radę sam.

— Pamiętaj, Jurku — przypomina mi p. Krokowski — gdybyś poczuł się źle, masz natychmiast wracać. Niejeden już człowiek przepłacił życiem tę wyprawę. Tam się umiera na serce.

Obiecuję. Bardzo łatwo dać taką obietnicę tutaj, na wysokości 2 700 m w bujnej, tropikalnej dżungli, którą przecina droga tak zniszczona przez tegoroczne deszcze, że nawet „Landrover" nie może jej pokonać. Powietrze jest rześkie, lekkie i nic nie wskazuje na to, że jutro o tej porze będę się dusił. Żegnamy się. Moi tragarze biorą bagaże, pustą plastykową butlę na wodę oraz mój plecak solidnie zaopatrzony przez p. Krokowskiego w żywność na cztery dni i w ciepłą odzież. Osobny tobołek zapełniają polana drewna. Ostatni pożegnalny gest ręki...

Moje wejście na KILIMANDŻARO

NOCLEG W CHACIE „MANDARA"

DOKOŁA WILGOTNA DŻUNGLA. Jedna roślina wspina się na drugą. Walka o życie nie uznaje zasad dobrego wychowania. Prawo istnienia zdobywają tu sobie tylko najsilniejsi, tak rośliny, jak i zwierzęta. Po wysokich gałęziach eukaliptusów, mahoniów i hebanów skaczą piękne, biało-czarne małpy — „kolobusy". Po godzinie marszu osiągamy pierwsze schronisko na naszej trasie — samotną chatę „Mandara". Wysokość 3 200 m. Tu będziemy nocowali. Łukasz i Laurenty rozpalają ogień, przygotowują kolację. Noc zapada błyskawicznie. Jest zimno. Najwyżej 15 stopni. Zaczynam odczuwać brak tlenu. Siadam na progu i wsłuchuję się w odgłosy dżungli. Potem kładę się na pryczy, ale nie mogę zasnąć. Serce bije dużo prędzej i mocniej niż zwykle, oddech jest krótszy i częstszy. Świadomość, że jestem już tak blisko celu, jest źródłem uczucia niepokoju, podniecenia i szczęścia.

Wyruszamy po kilku godzinach odpoczynku, po śniadaniu o szóstej rano, gdy zaczyna świtać. Gęsta mgła spowija odwieczne drzewa i skłębione zarośla przesycone wilgocią. Dżungla wygląda bardzo tajemniczo: liany, wielkie liście i nie znane mi rozmowy ptaków. Won oparów zupełnie inna niż o świcie w Tatrach. Po dwóch godzinach marszu dżungla kończy się nagle. Wychodzimy na szeroką otwartą przestrzeń porosłą tylko trawą. Na wprost przed nami błyszczy śnieg na szczycie Mawenzi, a nieco z lewej strony, na tle błękitu nieba, zza potężnego zbocza wystaje kawałek szczytowej czapy Kibo — krateru Kilimandżaro. Moi tragarze niosą plecaki na głowach. Idą powoli, ale rytmicznie. Raz po raz puszczam w ruch kamerę. Łukasz uśmiecha się: — Jeśli będziesz zmęczony — mówi — to mi powiedz. Zatrzymamy się, odpoczniemy.

On gra w naszym zespole rolę szefa.

4 000 METRÓW NAD POZIOMEM MORZA

MIJA NAS SPORA GRUPA MĘŻCZYZN. Są i dwie dziewczyny. Wszyscy wyraźnie zmęczeni. To turyści, ich tragarze i przewodnicy, którzy wracają z Kilimandżaro. Turyści mają na kapeluszach wianki uwite z kwiatów. To międzynarodowy znak tych, którzy weszli na krater najwyższej góry Afryki. Kwiaty rosną na wysokości ok. 3 000 m, na granicy wegetacji roślinnej. Na granicy życia. Wyżej dochodzi już tylko człowiek. Zwierzęta są za mądre, aby ryzykować.

— Skąd jesteś? — pytają mnie chłopcy po angielsku.

— Z Polski — odpowiadam.

— Z Polski? — dziwią się. — A my jesteśmy z Australii.

Być może pierwszy raz w życiu widzą autentycznego Polaka. Ale pewnie wiedzą, że najwyższa góra ich kontynentu nosi także polskie nazwisko — Kościuszki. Mają na nogach solidne buty, niektórzy nawet okute. No tak, przecież całe zbocze krateru Kibo pokryte jest śniegiem. Ja mam tylko trampki. Szaleństwo! Ale wiem, że kilka lat temu dwaj inni szaleńcy weszli na Kibo w trampkach. Oczywiście — też Polacy.

Trawersujemy pochyłe, trawiaste zbocze. U dołu z lewej gubi się ono w gęstej masie chmur, które zalegają masyw góry grubym pokładem do wysokości ok. 4 000 m. Pokonujemy skaliste kaniony i szczeliny, wąskie strumienie obrocie niesamowitymi roślinami jakby z innej planety, o grubych, rozwidlonych pniach, na szczycie których krzewią się bujne korony zielonych liści. Około południa osiągamy schronisko Harambo, tzw. drugą chatę. Wysokość 4 500 m. Najpierw fotografuję, a następnie siadam na ziemi oparty plecami o wielki głaz i oddychem ciężko. Tylko jeden, malutki ptaszek przelatuje nad nasymi głowami. Nie czuję głodu, nie czuję pragnienia. Jestem tylko bardzo zmęczony. Zaczynam słyszeć wyraźnie uderzenia własnego serca.

(Dokończenie w następnym numerze)

JERZY KRASICKI
Rys. M. Kościelniak

Urlop pod wodą

SPĘDZENIE urlopu pod wodą — możliwe będzie dzięki najnowszemu pomysłowi technicznemu, który przygotowali konstruktorzy amerykańscy. Ma to być pływająca willa z windą opuszczającą się w głębiny morza.

— Nasz projekt nie jest łodzią podwodną, przypomina raczej akwarium dla urlopowiczów — mówią inżynierowie. — Podwodna część willi — winda — ma kształt szklanej kuli, natomiast część pływająca na powierzchni morza — kopuły.

Winda zbudowana jest z najidealniejszego do tego celu materiału, ze szkła. Jest ono odporne na działanie słonej wody i nie wymaga ochronnej powłoki, jest poza tym przezroczyste.

Szklana kula wisi na masywnych, stalowych linach, które są zakotwiczone na dnie morza, a w górze spojone z nadwodną częścią willi. Pasażerowie wchodzą przez otwór do wnętrza kuli — windy. Potem wystarczy nacisnąć guzik i winda rusza w dół. Podróżni mogą sami wybrać głębokość, na której zechcą spędzić czas. Po naciśnięciu innego guzika winda wraca na powierzchnię. Gdyby z jakichkolwiek powodów nastąpiła awaria w dopływie prądu, winda automatycznie przełącza się na ręczne sterowanie.

Czyste i zdrowe powietrze w windzie zapewnione jest dzięki sztucznym kominom (wentylatory, urządzenia klimatyzacyjne), przez które następuje wymiana powietrza.

Konstrukcja nadwodna jest bardzo prosta, kolista platforma z lekkich, sztucznych tworzyw, na niej wsparta kopuła. Na wierzchołku kopuły zainstalowane są baterie lub generatory, zamieniające energię słoneczną na prąd elektryczny służący do zasilania urządzeń i silników. (b)

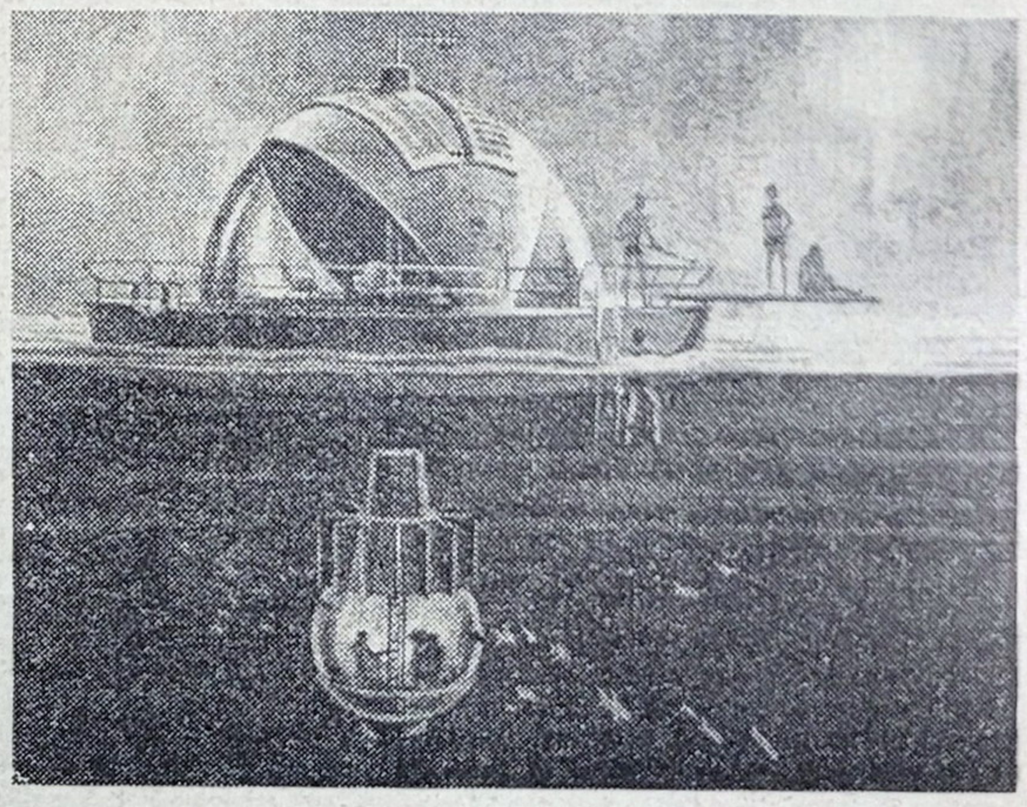

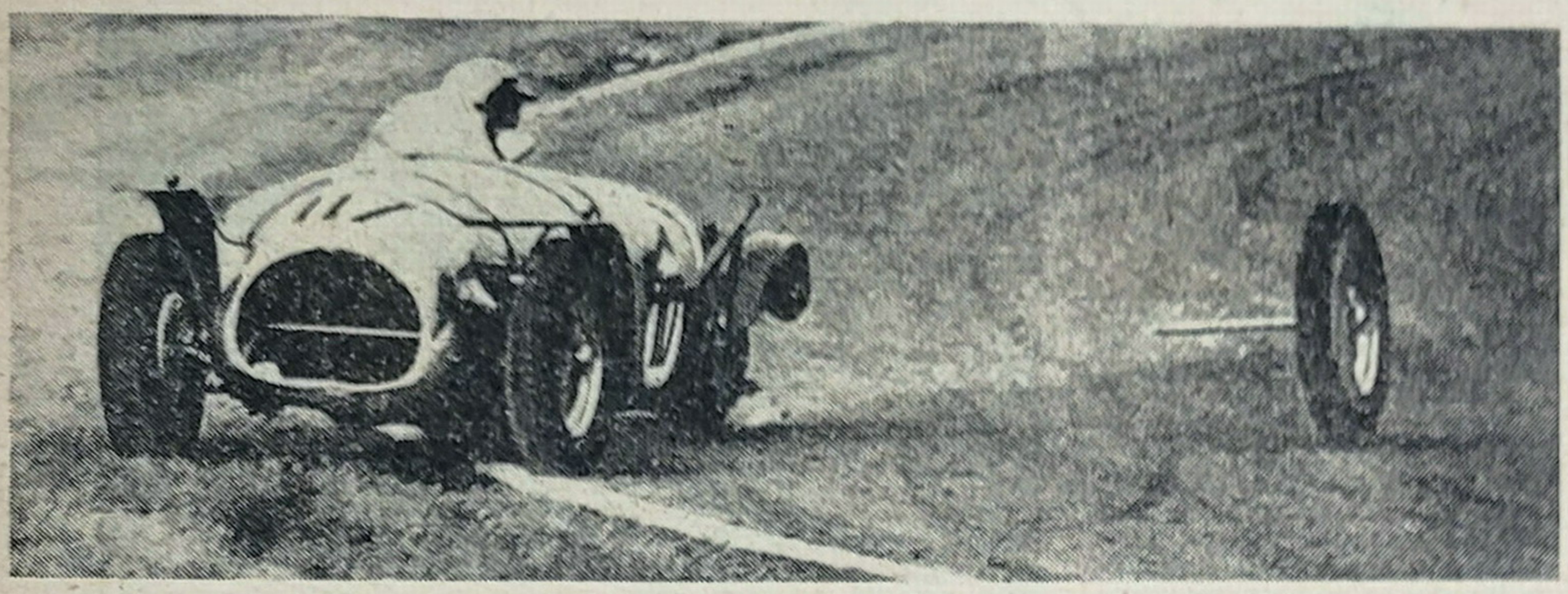

NIEZWYKŁE ZDARZENIE NA WYŚCIGACH SAMOCHODOWYCH

NIECODZIENNA PRZYGODA zdarzyła się kierowcy Andy Mclannanowi podczas wyścigu samochodowego w Brands Hatch (Anglia). W pewnym momencie oderwało się od wozu jedno z kół wraz z osią. Kierowca po przejechaniu kilkuset metrów na trzech kołach wylądował miękko w trawie, a odłączone koło potoczyło się samotnie 209 metrów i uderzyło w inny wóz. Na szczęście nic się nikomu nie stało. (b) Foto: CAF — Unifax

ROWEROWY RAJD REPORTERÓW DOTARŁ DO DĘBEK BORKOWA

SKARBIEC PANA PROFESORA

DO DĘBEK bardzo zła droga — przestrzegają mieszkańcy Karwi. Piach po kolana.

Ale my tam dotrzeć musimy. „Świat Młodych" w terminarzu spotkań z czytelnikami „umówił" nas na dziś po południu przed domem sołtysa. A poza tym szlak **Rowerowego Rajdu Reporterów** prowadzi właśnie do miejscowości trudno dostępnych.

Kiedy opuszczamy Karwię — przed nami dziewięć kilometrów tego piachu. Liczymy, że nawet prowadząc rowery trasę tę pokonamy w dwie godziny. Ale tuż za Karwią łapie nas ulewa. Deszcz zacina prosto w oczy, nie jesteśmy więc w stanie podziwiać pięknego rezerwatu dębów, przez który prowadzi piaszczysta droga. Mokry piach oblepia koła, wpycha się pod błotniki...

Co kilkadziesiąt metrów zatrzymujemy się i wydłubujemy ten piach patykami. Nasze nieprzemakalne kurtki przemakają do podszewki. W butach chlupocze woda. Po czterech godzinach niebo przeciera się, drzewa przerzedzają i oto widzimy rozrzucone na równinie to tu, to tam — domki.

Przed szkołą — okazałym otynkowanym budynkiem — spotykamy pana Wacława Obszyńskiego — kierownika i jedynego nauczyciela w Dębkach. Uczy się tu zaledwie siedmioro dzieci, a od września będzie ich czworo. Siedmioro dzieci chodzi do „wyższych" klas do Żarnowca odległego o sześć kilometrów. Sołtysa również tu nie ma, urzęduje w Żarnowcu.

— Osada Dębki jest bardzo stara — objaśnia pan Obszyński. — Przed wiekami była własnością żarnowieckiego klasztoru. Zamieszkiwali tu rybacy, których zadaniem było łowienie szlachetnej ryby, a więc węgorza i łososia, na klasztorne stoły. Teraz są tu zaledwie trzy rybackie łodzie. Pozostali mieszkańcy uprawiają ziemię.

Skąd w takiej małej wiosce szkoła? O, to już nowsza historia... Przed wojną na rzece Piaśnicy, która w pobliżu wpada do morza, przebiegała granica Polski. W 1918 roku, w czasie turystycznej wędrówki, trafił do Dębek profesor Wrzosek z Wileńskiego Uniwersytetu. Trafił — to mało, kupił tuż przy rzece kawałek ziemi i wybudował w lesie domek. Zaczęli wówczas do Dębek przyjeżdżać i inni naukowcy. Profesor Wrzosek sam kupił działkę pod szkołę i zebrał pieniądze na budynek...

Jeśli chcecie dowiedzieć się więcej szczegółów, radzę pójść do Grenów, oni mieszkali tu przed wojną, ich dom leży na skraju osady...

Nazywaliśmy go Profesorem

CZY ZNAŁAM PROFESORA? Ojej, dobrze znałam! Mała byłam, jak zaczął tu przyjeżdżać, przy nim rosłam — odpowiada na moje pytanie pani Stefania Budziszowa, z domu Gren. — Niewysoki, szczupły, z małą bródką. Często odwiedzał mego ojca.

— Nie, nie znam imienia. Myśmy go po prostu nazywali „Profesorem". Wiem, że wykładał w Wilnie, a po wojnie — w Poznaniu...

Profesor wydzielił jeden pokój w swoim domu na kaszubskie muzeum. Zbierał po wioskach różne przedmioty. Niektóre kupował, niektóre ludzie dawali mu w prezencie.

Mój ojciec, jak tylko Profesor coś ciekawego wynalazł, zaprzęgał konia i jechali po te skarby. Czasem były to meble rzeźbione, czasem stare garnki lub dzbany albo czepce, jakie dawniej na Kaszubach nosiły kobiety. Taki czepiec, złotem haftowany, kosztował kiedyś tyle, co dobra krowa... Każdy, kto tylko chciał, mógł pójść i oglądać ten skarbiec. Bo właśnie po to Profesor gromadził to wszystko.

Jak się zaczęła wojna, Niemcy zbiory rozdrapali albo zniszczyli. Profesor przyjeżdżał tu i po wojnie, jednak muzeum już nie odtworzył...

A nasze Dębki dzięki niemu każdego lata mają tu takich letników, że pozazdrościć. Profesorowie, lekarze... Bardzo sobie nasze Dębki chwalą. Zresztą dzięki nim wiadomo, że nasza woda najlepsza jest do picia w całej okolicy, chociaż kolor ma rdzawy...

W Żelaźnie miejsca brak!

PÓŹNYM POPOŁUDNIEM jedziemy dalej. Droga prowadzi początkowo torfowiskiem, ale im bliżej Żarnowca, tym trudniej, bo góra i piach. Postanawiamy, że w Żarnowcu złożymy rowerki i pojedziemy do Łeby pekaesem. Ale na miejscu okazuje się, że ostatni autobus w tamtym kierunku odszedł przed godziną...

A więc mamy do przebycia kilkadziesiąt kilometrów przez teren urozmaicony pagórkami! Ruszamy.

Jakieś dwadzieścia kilka kilometrów dzieliło nas jeszcze od celu podróży, kiedy spadły pierwsze krople deszczu. Czarne niebo zapowiada dłuższą ulewę. Zatrzymujemy się w miejscowości Żelaźno. Pytamy ludzi o możliwość otrzymania noclegu. Kierują nas do pałacyku, w którym mieści się dyrekcja PGR-u, mówią, że są tam pokoje gościnne.

Niestety. Pan dyrektor nie chce nawet spojrzeć na służbowe delegacje, które trzymam w ręku. Dziennikarski rajd go nie interesuje. Zamyka drzwi i już spoza nich radzi, żeby jechać do Borkowa, bo to tylko trzy kilometry i tam na pewno indywidualni gospodarze nas przenocują, a tu, w Żelaźnie miejsca nie ma.

Trzy kilometry ulewy przebywamy wyrażając się niezbyt pochlebnie o niegościnnym dyrektorze. Wika nie może zrozumieć, że w takim dużym pałacu zabrakło miejsca dla dwóch osób. Ale Wika nie jest dziennikarką, więc nie ma rozeznania, jak to jest w terenie...

W Borkowie znowu kłopot: sołtysa nie ma w domu. A musi dać skierowanie na nocleg.

Przyjmują nas wreszcie państwo Żmitrowiczowie. W domku ciasno wprawdzie, mieszkają w nim bowiem razem dwie rodziny, ale gospodarze odstępują nam tapczan. Pani Żmitrowiczowa szybko rozpala w piecu. Przyrządza kolację, siłą niemal ściąga z nas przemoczone kurtki, swetry, buty i wiesza nad ogniem, żeby przeschły do rana.

— Kto sam w życiu biedy nie zaznał, ten nie zrozumie drugiego — filozoficznie stwierdza nasz gospodarz, kiedy nazajutrz dziękujemy za gościnę. A sam biedy zaznawał sporo. Mieszkaniec Rudnińskiej Puszczy z Wileńszczyzny — ciężko musiał pracować i przed wojną, i po wojnie, i już po repatriacji, tu w Borkowie...

— Kiedy mi przydzielono ten domek, żona ręce załamała. Okien nie było, otwory założone workami z piaskiem. Konia nie mieliśmy. A ziemia wymaga pracy. Dziś mam dwa konie i kilka krów. Proszę spojrzeć — pan Żmitrowicz pokazuje stwardniałe dłonie — wszystko to z pracy rąk. I dzieci wychowaliśmy na ludzi. Trzy córki już zamężne, a jedna pracuje w Bydgoszczy w fabryce rowerów jako spawacz. Na pewno i przy waszych rowerach pracowała...

Na pożegnanie robimy państwu Żmitrowiczom pamiątkowe zdjęcie. Wyślemy je zaraz po zakończeniu rajdu.

WIESŁAWA MROCZEK
Foto: W. Iljin

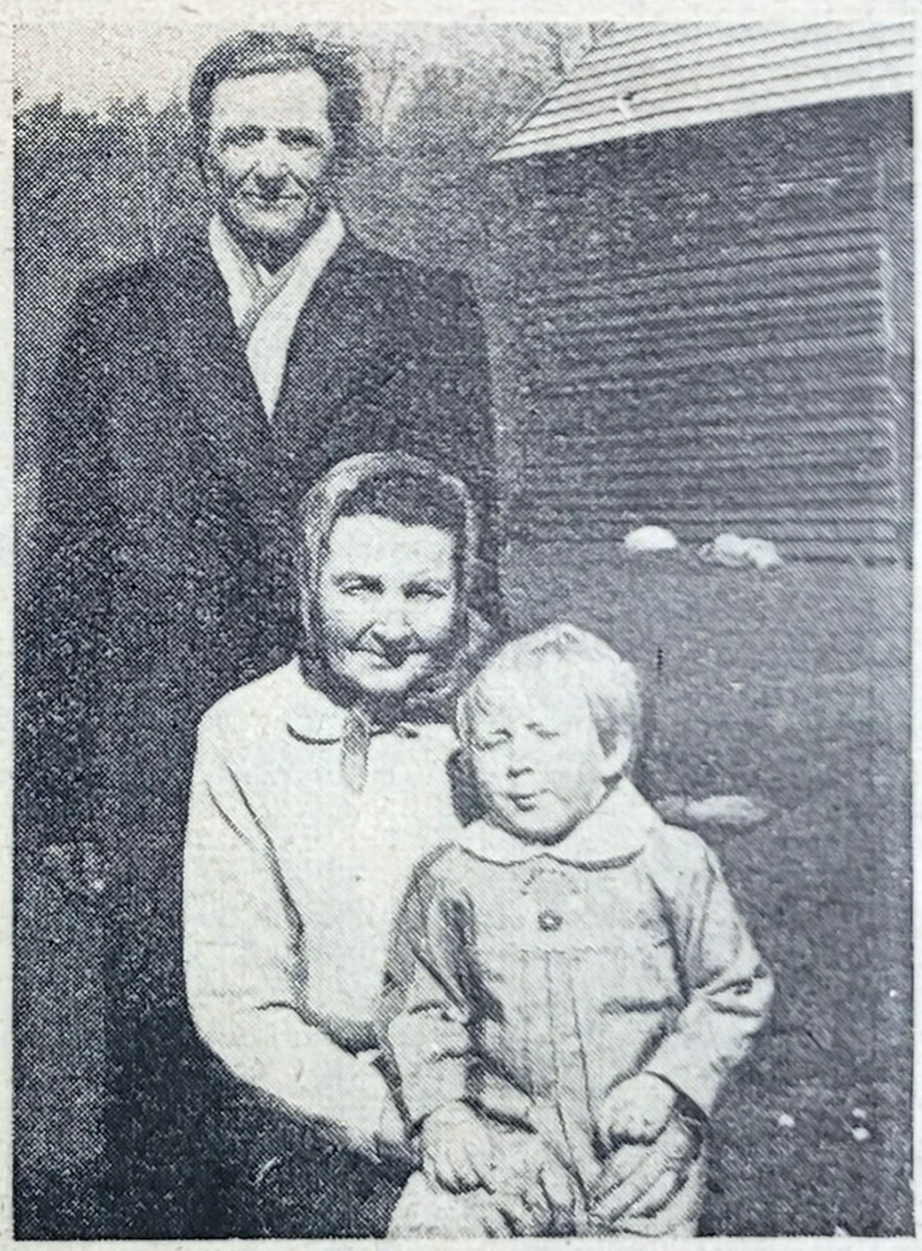

Oto państwo Żmitrowiczowie z wnuczką. Ci właśnie, którzy udzielili nam gościny w Borkowie.

PO NITCE
DO KŁĘBKA

deser

KUPILAM W SKLEPIE za 3 złote 50 groszy hermetycznie zamkniętą torebkę ze srebrzystej błyszczącej folii z dziwnym napisem: — „ALGINO, SMAK POMARAŃCZOWY". I od tego się wszystko zaczęło...

Tajemniczy protanal FVF

PO POWROCIE do domu przeczytałam na odwrotnej stronie opakowania: **„...Wlać do salaterki szklankę zimnej wody i wsypać do niej wolno zawartość torebki, energicznie mieszając oraz roztrzepując widelcem około 2 minut..." —** Wlałam wody, wsypuję proszek, mieszam. Płyn zaczyna gęstnieć, pęcznieje, przypomina pianę z ubitych białek. Zawartość salaterki robi się puszysta, podwajając objętość.

Czytam dalej: — **„...Następnie należy dodać 8 łyżek stołowych zimnego mleka lub śmietanki, powtórnie masę wymieszać..." —** Wymieszałam. Spróbowałam. Gładka aksamitna struktura, wyborny smak! Słodkie i orzeźwiające!

Z uwagą więc studiuję notatkę o składnikach „Algino": — **cukier, kwas cytrynowy, esencja pomarańczowa, barwnik, protanal FVF...** Żaden z czterech pierwszych nie ma prawa pęcznieć w zimnej wodzie. Więc może to sprawka tajemniczego protanalu FVF? Jaka substancja kryje się za tą nazwą?

— Warto to wyjaśnić — pomyślałam i postanowiłam pojechać tam, gdzie na pewno otrzymam odpowiedź na moje pytanie.

Algi. alginian, „Algino"

DOTARŁAM NA MIEJSCE. — Gdzie jestem? — Stoi tu kuchenka gazowa, salaterki z mlekiem, leży trzepaczka do piany. Pachnie pomarańczą, migdałami, wanilią. A więc kuchnia, tak? Nie! Bo stoją tu też zlewki, probówki, niezwykle dokładne wagi, aparatura do analiz chemicznych.

Rozmawiam z autorką „Algino", jedną z gospodyń laboratorium, panią mgr inż. Felicją Kościelską-Garczyńską — głównym technologiem Zakładów Środków Odżywczych w Gdańsku-Oliwie:

Rzeczywiście, niezwykłe zachowanie się sproszkowanej zawartości srebrzystej torebki jest sprawką owego tajemniczego — jak się pani wyraziła — protanalu FVF.

— Co to jest? — pytam.

— Alginian.

— ???

— ...Związek chemiczny, otrzymywany z wodorostów, ściślej glonów morskich czyli alg. Kilka lat temu nawiązaliśmy współpracę z norweską firmą „Protan", produkującą w dwóch zakładach na szeroką skalę różnego rodzaju alginiany. Otrzymaliśmy próbki i...

— I wtedy narodził się pomysł „Algino"?

— Tak. Do importowanego protanalu FVF, który nie ma ani smaku, ani zapachu, a służy głównie jako substancja zagęszczająca, dodajemy u nas esencje smakowe, zapachowe, cukier, barwnik i — po wymieszaniu tego wszystkiego — pakujemy proszek do torebek. To cała tajemnica.

— A skąd nazwa? — pytam.

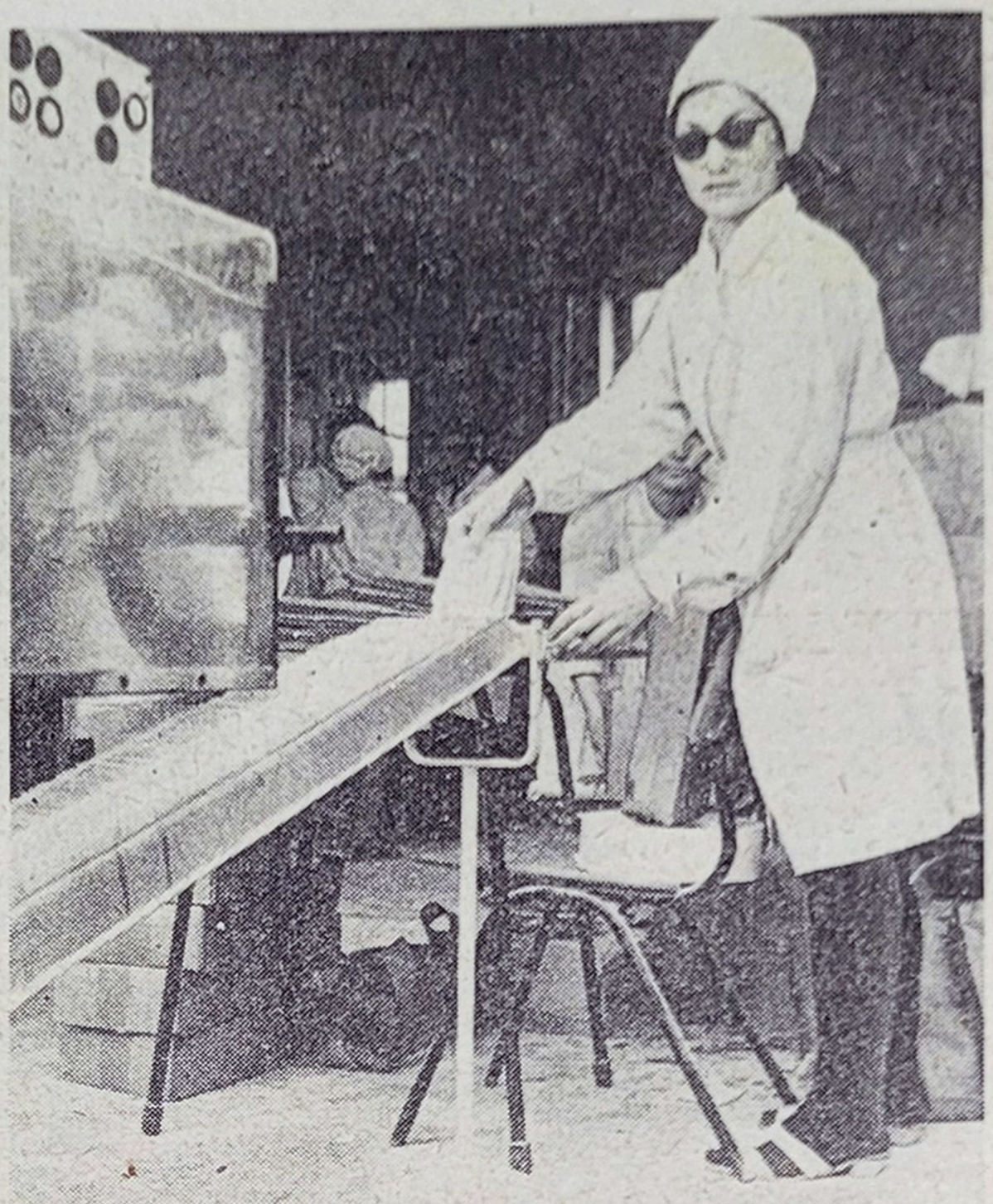

Nowoczesna NRD-owska maszyna pakuje metodą termo-spawalniczą przygotowane dla Was w Gdańskich Zakładach Odżywczych smakołyki.

— **Algi, alginiany więc „Algino".**

— Kiedy ten smaczny i atrakcyjny deser będzie można częściej oglądać w sklepach?

— Jak zaczniemy w Polsce produkować na dużą skalę alginiany. Morski Instytut Rybacki w Gdyni obiecuje zająć się tym już w najbliższej pięciolatce. Korzyści mogą być ogromne. W końcu ubiegłego roku przebywałam na dwutygodniowej praktyce w Norwegii. Dowiedziałam się tam, że alginiany znajdują zastosowanie nie tylko w przemyśle spożywczym, ale także we włókiennictwie, kosmetyce, dentystyce. Używa się ich zarówno do produkcji farb pokojowych jak i elektrod.

Glony z truskawkami

OCZYWIŚCIE nie mówię o glonach prosto wyłowionych z morza, bo tylko niektóre ich gatunki są jadalne bezpośrednio (tzw. sałata i kapusta morska z mórz japońskich i chińskich). Mam na myśli nasz otrzymany z alg na drodze chemicznej protanal FVF i owoce w.... proszku.

Znów wsypuję zawartość to-

JEST ROK 1969. Ostatnie kilometry XXII Wyścigu Pokoju. Za godzinę — Berlin. Na szosie samotna sylwetka kolarza. To Ryszard SZURKOWSKI. Zgięty nad kierownicą rozcina głową wiatr, wiejący mu prosto w twarz. Jeżeli wytrzyma to mordercze tempo — będzie zwycięzcą. On — debiutant w

Nie ma samo

polskiej drużynie. Od Francuza Jean Pierre Danguillaume dzielą go tylko sekundy. Ten dystans Polak może zmniejszyć. Ba, może osiągnąć życiowy sukces, gdy wpadnie na metę pierwszy. Szurkowski próbuje ucieczki indywidualnej. Może się uda!

Błyskawicznie zmienia przerzutkę. Szybciej. Już sto, dwieście metrów przewagi. Gromada kolarzy zostaje za wzniesieniem. Mijają minuty. Na horyzoncie wyrastają wieżowce Berlina. I wtedy Ryszard słyszy jakieś

zgrzyty. W trybach roweru coś j
nie w porządku. Pojawiają się też
znaki zmęczenia. Szurkowski wie,
zostanie wchłonięty przez pelt
Zsiada z roweru i czeka na wóz tec
niczny. Dostaje nową maszynę. Zr
wu pochylony nabiera szybkości. D
goni wszystkich, ale nie poko
Francuza. Od pierwszego miejsca b

dą go dzieliły tylko 42 sekundy.
wyścigu Szurkowski powiedział:

— Za mało współpracowałem
kolegami. Przekonałem się, że s
motnie nie można wygrać Wyści
Pokoju.

To prawda. W rok później —
1970 r. — też na mecie w Berlin
Ryszard Szurkowski święcił zwyci
stwo. Tym razem stwierdził:

**— Bez pomocy drużyny nig
bym nie przyjechał do mety pier
szy.**

Wyłowiony z morza

rebki do zimnej wody i znów zaskoczenie! W galaretce czuję smak i zapach świeżych truskawek. Podziwiam piękny kolor!

To dzięki **liofilizacji**, która jest niczym innym jak „suszeniem" produktów o dużej zawartości wody. Ale suszenie to, czyli inaczej odwadnianie, odbywa się **w specyficznych** warunkach. Zamrożony produkt umieszczony zostaje w próżni, a wtedy kryształki lodu przechodzą bezpośrednio ze stanu stałego w parę, czyli zostają wysublimowane. **Kilogramowy kalafior po liofilizacji waży zaledwie 50 gramów, lecz zachowuje jednocześnie swój pierwotny kształt i strukturę wewnętrzną.** Produkty liofilizowane nie wymagają przechowywania w niskich temperaturach. Przed spożyciem wystarczy zamoczyć je, jak gąbkę, w wodzie, by znów otrzymały dawną postać. Owoce nie tylko nie tracą witamin, ale przeciwnie, stwierdzono, że zwiększają zawartość witaminy „C"! Wysoka temperatura niszczy witaminy — tak cenne dla zdrowia — dlatego połączenie owoców liofilizowanych z protanalem FVF, który zamienia w puszystą masę zwyczajną zimną wodę, jest doskonałym pomysłem.

Oby i ten pomysł jak najprędzej przekroczył progi laboratorium.

*

Dotychczas zbadano już 20 tysięcy roślin zwanych po polsku **glonami** *(nazwa pochodzi z gwary góralskiej), a po łacinie, uczenie —* **algami.** *Ich wymiary wahają się od setnych części milimetra do... 60, a nawet 100 metrów! Te największe tworzą niekiedy łąki i lasy podwodne na obszarze tysięcy kilometrów kwadratowych!*

O wykorzystaniu bujnych podwodnych grządek mówi się nie od dziś. I nie od dziś teoria przeszła w praktykę, chociaż my zaczynamy na razie od deserów.

TERESA DROGA-KUPCZYŃSKA

Szkoda, że nie widzicie, w jak kolorowych opakowaniach wypuszczają zakłady w Oliwie swoje desery. (W środku „Algino").
Foto: Kajetan Adamowski

W pachnącym laboratorium czuwa się nad tym aby smakołyki były nie tylko miłe dla podniebienia, ale posiadały także odpowiedni skład chemiczny.

Na starych, zabytkowych już prawie maszynach sporządza się tzw. zaprawę, z której potem, po dodaniu reszty składników, powstanie budyń, kisiel, lemoniada w proszku...

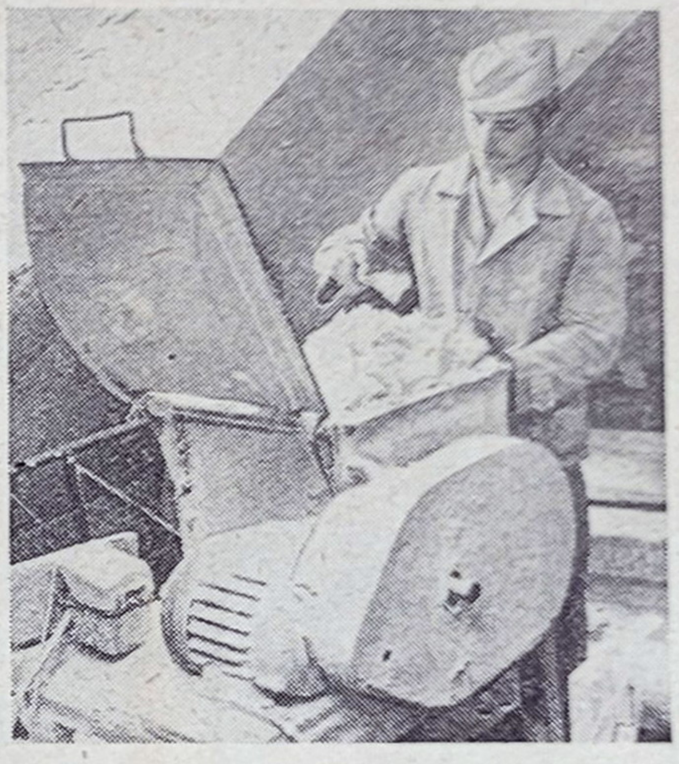

Ciekawe!

DLA KOSMONAUTÓW

HODOWLA chlorelli — glonu mikroskopowych rozmiarów — w sprzyjających warunkach może dać w w ciągu roku 120 ton suchej masy organicznej z obszaru 1 hektara. Masa ta zawiera 50 proc. białka (niezbędny składnik pożywienia ludzi i zwierząt), 35 proc. węglowodanów, 5 proc. tłuszczu i 10 proc. soli mineralnych, duże ilości aminokwasów i witamin.

Ponieważ hodowla tych glonów jest bardzo prosta, bada się możliwości wykorzystania ich na statkach kosmicznych, gdzie w specjalnym sztucznie oświetlonym pomieszczeniu dostarczałaby kosmonautom wartościowego pokarmu a pochłaniając wydychany przez nich dwutlenek węgla, sprzyjałaby utrzymaniu właściwego składu powietrza.

AGAR – AGAR

Z KRASNOROSTÓW rosnących w morzach japońskich i chińskich otrzymuje się agar-agar. Substancja ta rozpuszczona w wodzie o temperaturze 100°C krzepnie w temperaturze poniżej 50°C i daje trwałą bezbarwną galaretę, bez smaku i zapachu. Po dodaniu odpowiednich składników otrzymuje się z agar-agaru smaczne marmoladki. Agar-agar znajduje także zastosowanie w lecznictwie i biologii (pożywka dla kolonii bakterii).

Okazało się, że tę cenną substancję (1 kg kosztuje 300 zł) można otrzymywać także w Polsce z glonu zwanego widlikiem, rosnącego masowo w Zatoce Puckiej. Produkcją już od kilku lat zajmuje się pucki Zakład Przetwórstwa Wodorostów. Dziennie wydobywa się z Zatoki 15 ton wodorostów. Wyczerpania się ich zasobów nie należy się obawiać.

otnych

W tych słowach nie ma przesady. Na czym zaś współpraca na szosie polega — opowiada trener Henryk ŁASAK.

Dwa razy trzy

SPOTKAŁEM SIĘ z głosami, że już w Pradze wytypowałem na zwycięzcę tegorocznego Wyścigu Pokoju Ryszarda Szurkowskiego. Nieprawda! Na starcie zupełnie jednakowe szanse mieli wszyscy — Szurkowski, Hanusik, Czechowski, Kaczmarek, Stec, Krzeszowiec. Oczywiście, ja wiedziałem, że najlepsi są: Hanusik i Szurkowski. Nie sugerowałem jednak, ażeby pozostali zawodnicy jechali tak, by zwycięstwa etapowe odnosił wyłącznie Szurkowski albo Hanusik. Każdy miał prawo do osobistych sukcesów, które w końcu miały sprawić, że Polacy odniosą zwycięstwo drużynowe. O tym, że Hanusikowi i Szurkowskiemu trzeba pomagać zdecydowałem dopiero wówczas, gdy stało się jasne, że jeden z nich może być pierwszy. Wtedy Stec i Krzeszowiec otrzymali polecenie opiekowania się Szurkowskim, a Czechowski i Kaczmarek — Hanusikiem. Opieka polegała na tym, aby żaden z kolarzy nie był sam zarówno w próbach ucieczek, jak i w jeździe grupowej oraz w sytuacjach krytycznych — np. upadku, chwilowym osłabieniu. W razie potrzeby Stec osłaniał Szurkowskiego przed wiatrem, przytrzymywał go za siodełko w czasie spożywania jedzenia. Jeden z opiekunów miał zawsze tak dopasowany rower, że w razie kraksy mógł go oddać bez potrzeby zmieniania wysokości siodełka albo innych koniecznych poprawek.

Nie każdy wie, że na siedemnaście kilometrów przed metą w Berlinie Szurkowski zauważył zmianę w dętce. Powietrze powoli, ale stale, uchodziło. Mogło się zdarzyć, że zmiana roweru będzie konieczna. Stec jechał więc tuż za Szurkowskim i był gotów zsiąść w każdej chwili z roweru i oddać mu swój. Na szczęście okazało się to niepotrzebne.

I jeszcze jeden przykład współpracy. Zygmunt Hanusik jest nie do pobicia na finiszu. Po to jednak, żeby Hanusik mógł zwyciężyć, jeden z kolarzy musiał go podprowadzić do wjazdu na stadion. Prosto z wirażu Hanusik ruszał do ataku przeważnie nie do odparcia. Jemu dostawał się wieniec, on zbierał sekundy przyznawane za pierwsze i drugie miejsca na mecie. Hanusik pamiętał jednak zawsze o tym, że współtwórcą sukcesu jest jego kolega, zawodnik, o którym pisano mniej albo wcale.

Decyduje trener

MÓWI prezes Polskiego Związku Kolarskiego, red. Włodzimierz Gołębiewski, kierownik działu sportowego „Trybuny Ludu":

— W Wyścigu Pokoju, oprócz wspomnianego współdziałania kolarskiego w walce o zwycięstwo indywidualne, istnieje jeszcze bardzo silna współpraca mająca zapewnić sukces drużynowy. W kierowaniu akcjami poszczególnych kolarzy i całej drużyny najwięcej do powiedzenia ma trener. On ustala plan walki na poszczególnych etapach. On wysyła do boju kolarzy mających akurat najwięcej sił. On żąda podporządkowania pojedynczych ambicji ZESPOŁOWI. Jeśli trener zażąda np. od najlepszego zawodnika zespołu, by opóźniał akcje pościgowe, zwalniał tempo po to, żeby mogli je wytrzymać słabsi koledzy — to rozkaz musi być spełniony. Trener również czuwa nad sprawiedliwym podziałem pochwał, trener wyraża prawidłową ocenę o zasługach poszczególnych członków zespołu. Niezwykle trudno jest utrzymać dobrą atmosferę w sytuacjach pełnej walki wywołującej zmęczenie i rozdrażnienie wśród kolarzy. Trenerowi Henrykowi Łasakowi to się udaje, więc zespół polski jest przykładem harmonijnej współpracy.

Kolarz przegrywa

Kolarz przegrywa w kilku sytuacjach.

● Gdy nie potrafi współpracować z kolegami, właściwie docenić ich poświęcenia dla zespołu.

● Kiedy za wszelką cenę chce być wszędzie pierwszy i nie szanuje prawa innych do zwycięstwa. Może wtedy być przekonany, że w trudnej sytuacji zostanie sam, chociaż wiadomo od dawna, iż na szosie nie ma samotnych kolarzy.

Dobre tradycje pomagania sobie nawzajem zrodziły się dawno, ale w pełni rozwinęły dopiero w Wyścigu Pokoju. Na dalekiej drodze z Pragi do Warszawy i Berlina umacniała się przyjaźń pomiędzy zawodnikami mówiącymi różnymi językami.

W tym miejscu raz jeszcze wrócę do zeszłorocznego Wyścigu i walki pomiędzy Francuzem Danguillaume a Szurkowskim. Kiedy Francuz zobaczył, że Polak stoi na skraju szosy i czeka na wóz techniczny, natychmiast przyhamował i powiedział o wypadku Szurkowskiego jego kolegom. Wiedział dobrze, że Szurkowski jest jego największym przeciwnikiem, że dzielą ich tylko 42 sekundy, a mimo to nie przejechał obok towarzysza obojętnie. Zrobił wszystko, aby mu pomóc.

Myślę, że teraz już wiecie, dlaczego napisałem w tytule, że NIE MA SAMOTNYCH, nie ma samotnych kolarzy, nie ma samotnych ludzi. Bo jeśli ktoś potrafi okazywać serce, to może być pewien, że w trudnej chwili ktoś inny wyciągnie do niego rękę.

WITOLD DUŃSKI
Foto: E. Warmiński

WILKI na GRANICY

ALEKSANDER WIĄCEK
JERZY RUSZCZYŃSKI

ODCINEK 20.

kund po jego okrzyku nastąpiła reakcja. Niedaleko przed nim zaterkotał długą serią pistolet maszynowy. Rój kul, odbijając się od ścian, z gwizdem popędził tunelem. Wierzba w ostatniej chwili padł twarzą w muł, cudem unikając pocisków. Nagle seria urwała się. Zapanowała cisza. Seretiuk poderwał się do biegu wołając:

— Hilfe! Hilfe! (Na pomoc!)

Już mu nie uwierzyli. Jeszcze jedna seria pocisków i Wierzba usłyszał odgłos ciężko padającego ciała z okrzykiem:

— Maty!...

Widocznie w ostatniej chwili życia przypomniał sobie ten sprzedawczyk rodzinny, ukraiński język, i matkę.

Metr po metrze, czołgając się po mule, pod gradem odbijających się od ścian i sufitu kul, Wierzba wycofał się na polską stronę.

Wymęczony do ostateczności, ale nawet nie draśnięty, zabłocony od góry do dołu, z oberwanym przez zabłoconą kulę naramiennikiem, wydostał się w ruiny starej elektrowni. Nie zastał tam nikogo, wybiegł po schodkach przed budynek. Szpak, przykucnięty obok jęczącego Karola, nerwowo obgryzał paznokcie. Nie okazał nawet radości z powodu powrotu Wierzby, o nic się nie pytał. Sierżant obrzucił go wzrokiem i spytał z niepokojem:

— A gdzie Irma?

Szpak z ponurą miną podał za lufę swój nagan:

— Masz. Zastrzel mnie lepiej zaraz. Nie jestem wart lepszego losu. Kretyn ze mnie, jakich mało.

— Jak to się stało?

— Zupełnie zwyczajnie. Zszedłem do piwnicy zajrzeć, gdzie się podziałeś. Wracam, a tej cholery już nie ma. Pytam Karola, co się z nią stało, a ten powiada, że ją mogę w nos pocałować. Strzeliłem w górę, przyleciało dwóch wopistów z placówki w Pieńsku, to ich posłałem, żeby jej szukali. Ale chyba za późno, za ciemno.

— A Cynkowski? — spytał gorączkowo Wierzba.

— Jaki Cynkowski?

— Ten, co tam leżał w piwnicy, jak mu w łeb dałem.

— Ja go nie widziałem. O rany, chyba też uciekł.

— Psiakrew! — zaklął Wierzba. — Jesteśmy skwitowani, każdemu ktoś uciekł. Ale grunt że mamy Karola.

NASTĘPNEGO DNIA wszyscy nasi znajomi z WOP-u zebrali się w gabinecie kapitana Olejarskiego. Majorowie Gruda i Warszawski serdecznie dziękowali Wierzbie i Szpakowi.

— To nie nasza zasługa — tłumaczył się zażenowany sierżant. — Po prostu mieliśmy szczęście. Zresztą ja mogę mówić o szczęściu, że mi się udało cało wyjść z tego kanału. A już pomyślałem, że...

— Że skończy się tak jak w tamtym tunelu? — spytał major.

— Myślałem, że tym razem skończy się gorzej. Wtedy nas było więcej.

— Mieliście przy sobie Szpaka — dodał Warszawski. — To taki przyjaciel, który by was wyciągnął z każdej sytuacji. Coście tacy markotni?

Szpak z ponurą miną siedział w kącie pokoju.

— Zrozumcie, chłopak ma za sobą tyle nieprzespanych nocy — usprawiedliwiał go Wierzba.

— Nie zawracaj głowy, Wierzba — zdenerwował się Leon. — Wiesz dobrze, że nie o to chodzi. Wolałbym jeszcze sto nocy nie spać, żeby ona...

— Jaka ona? — wtrącił się major Gruda z uśmiechem. — Zakochaliście się?

— A niech ją...

— Co zrobiła? Zdradziła was?

— Gorzej jak zdradziła. Uciekła...

— O kim mówicie?

— O tej Irmie, co już nam raz uciekła.

— Irma Hellman? — zdumiał się major. — Mieliście ją w rękach?

— A miałem, miałem. — Szpak, jakby dla ilustracji, zaciskał i otwierał wyciągnięte dłonie — ale mi uciekła, bom frajer.

— Nic z tego nie rozumiem — uciął major. — Wierzba, opowiadajcie dokładnie, jak to było tej nocy.

Wierzba krótko opisał zebranym wydarzenia ostatnich godzin. Gdy doszedł do punktu kulminacyjnego, do śmierci Seretiuka, Szpak wtrącił:

— A mnie zrobiło się smutno, że cię chyba więcej nie zobaczę. Ta sobaka musiała wykorzystać ten moment.

— Nie martw się, Leon. Nie powinienem był cię zostawić samego do pilnowania dwóch osób. Zresztą i mnie ten cholerny Cynkowski uciekł. To moja wina. Nie wiedziałem wcześniej, że z tej piwnicy jest drugie wyjście. Oprzytomniał, gruz odgarnął i wydostał się przez okno z drugiej strony budynku, tak, że go nie mogłeś widzieć.

W tym momencie otworzyły się drzwi i wszedł kapitan Olejarski.

— Cieszę się z poznania bohaterów dzisiejszej nocy — powiedział ściskając dłonie obu podoficerów. — Pokazaliście moim ludziom, jak powinna wyglądać praca w zwiadzie. Panu też gratuluję, panie majorze, mieć takich ludzi, to i szczęście, i zaszczyt. A może odda mi pan którego?

— Wykluczone, kolego — oponował major Gruda. — U nas jest dla nich wiele roboty. Jeszcze i po naszym odcinku granicy tułają się resztki tych wilków.

— No trudno, może i u mnie ujawnią się kiedy takie talenty. Proszę ode mnie pogratulować kapitanowi Szpakowi...

— Komu? — major Gruda nadstawił ucha.

— Temu oficerowi zwiadu od pana, co odkrył starą elektrownię i napisał raport do sztabu.

— Jak to było, Leon? — pod groźną miną majora czaił się uśmiech.

— Zwyczajnie, panie majorze — poderwał się na baczność. — Przecież w naszych wojskowych skrótach od kaprala do kapitana jest tak blisko...

— Toście mnie nabrali — roześmiał się Olejarski. — Ale to nic, jeszcze i ja was dostanę. Podobno — przymrużył filglarnie oko — pan kapitan-kapral chciałby zobaczyć się z piękną kobietą...

Szpak wbił oczy w ziemię, zaczerwienił się.

— Ale na moim terenie — ciągnął dalej kapitan Olejarski — randki odbywać się mogą tylko za moją aprobatą. — To mówiąc wskazał na drzwi.

Szpak z niepewną miną wstał, trzasnął kopytami, ociągając się podszedł do drzwi, otworzył je i nagle wydał dziki okrzyk:

— Ach, ty małpo zielona! A ty tu skąd?

Wierzba pierwszy znalazł się przy drzwiach, za nim oficerowie. W kajdankach na rękach, nieco brudna na twarzy, ale zawsze jeszcze ładna, siedziała Irma.

— Moi ludzie też coś potrafią — uśmiechnął się triumfalnie Olejarski. — Złapali ją na stacji. Usłyszano, że w przeznaczonym na eksport wagonie desek ktoś kicha. Zawołano moich chłopców, deski rozrzucili — no i macie wynik. Wam dwa razy uciekała, ale u nas ten numer nie przejdzie.

— Oby, oby kolego — dodał major. — Pamiętajcie, że to ptaszek niepospolity. A Cynkowskiego nikt nie widział?

— Niestety nie, panie majorze. A teraz proszę panów do mnie — zwrócił się do obecnych kapitan Olejarski. — Pora uczcić nasze sukcesy. Mam nadzieję, że kolega mi nie odmówi — ujął za łokieć wycofującego się z lekka Szpaka.

— Nim skończymy urzędować, mam prośbę do pana majora — zwrócił się Wierzba na boku — może teraz wreszcie mógłbym dostać mój urlop.

— Naturalnie, mój drogi — potaknął Gruda. — Mam już dla was skierowanie od jutra do naszego ośrodka wypoczynkowego w Świeradowie-Zdroju.

— Dziękuję bardzo. A jak wrócę, to obiecuję, że znajdę Cynkowskiego. On tu na pewno jeszcze będzie grasować, a z tą plamą na szyi nigdzie mi się nie schowa.

Koniec

Uwaga!

Na tym kończą się u nas dzieje sierżanta Wierzby, dalszy ciąg znajdziecie w książce pod tym samym tytułem. Książkę jeszcze w tym roku wyda Państwowe Wydawnictwo „Iskry".

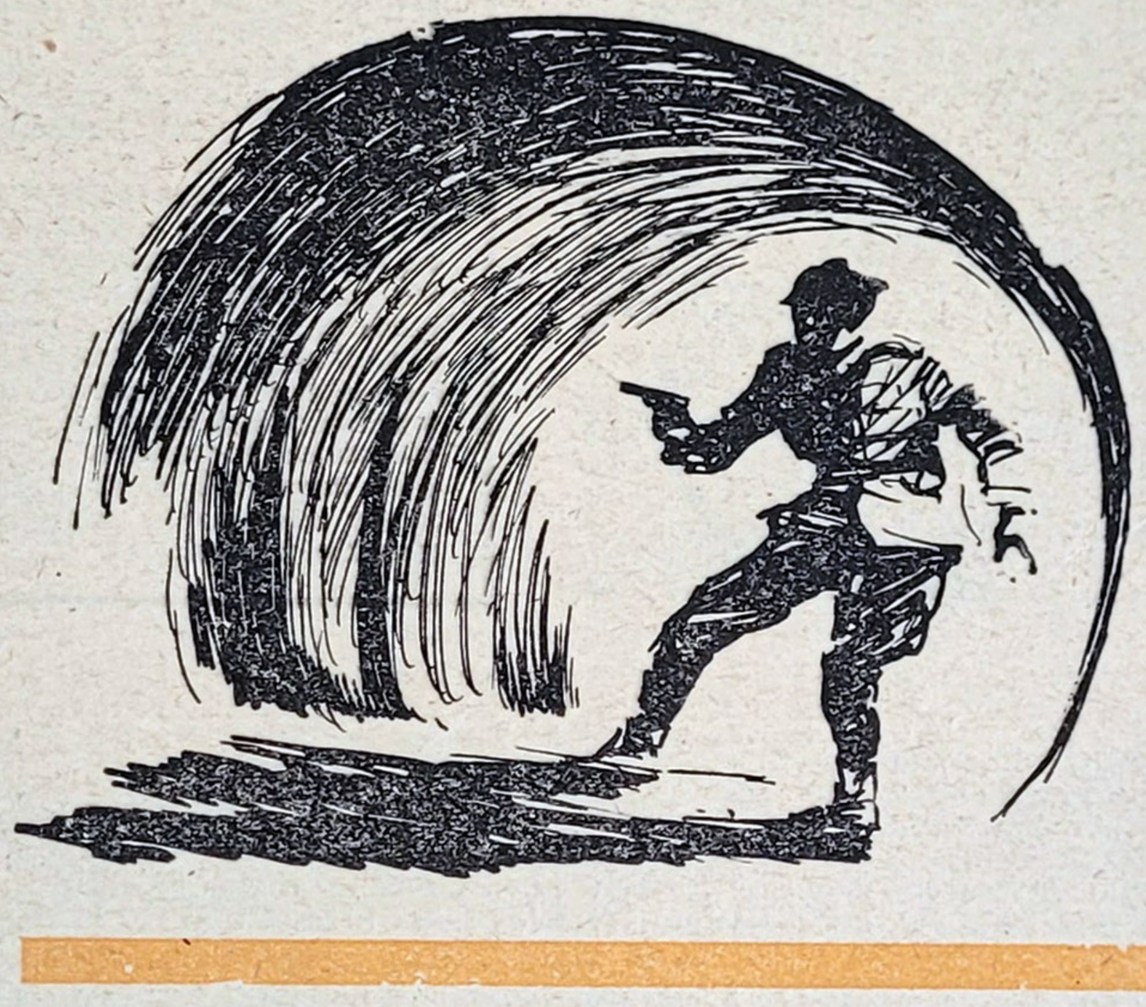

POWIETRZE nasycone było gazem błotnym, wydzielającym charakterystyczny, niemiły zapach. Buty miał już kompletnie mokre. Pokusa zawrócenia stawała się coraz silniejsza. Chciał się jednak jeszcze upewnić, że nie warto dalej gonić Seretiuka. Oparty o mur nadsłuchiwał. Nagle jego ucho wyłowiło w tej absolutnej ciszy plusk wody, jakby w pobliżu ktoś ostrożnie stąpał.

— Seretiuk, poddaj się! — krzyknął groźnie, może raczej dla dodania sobie odwagi. — Żywy stąd nie wyjdziesz, uwaga, bo strzelam!

Jedyną odpowiedzią był szybki tupot nóg uciekającego.

Ciekawe, czy minęliśmy już rzekę? — zastanawiał się Wierzba. Trudno mu było zorientować się, jak daleko jest od włazu do kanału. Zaciął zęby i ruszył w dalszy pościg. Po paru krokach poczuł pod nogami wodę. Najpierw chlupała mu gdzieś pod podeszwą, potem doszła do kostek. Podnosiła się dalej, zaczęła się nawet wlewać przez cholewy do butów. Przystanął zaniepokojony. Tu musiał być najniższy punkt kanału, pewno pod rzeką. Ruszył ostro przed siebie. Korytarz podnosił się z wolna, woda była coraz płytsza, ale kroki uciekającego raczej oddalały się. Szanse pościgu były coraz mniejsze. Trzeba było zrobić ostatnią próbę.

— Stój, draniu! — zawołał raz jeszcze. — Widzę cię, stań albo zastrzelę jak psa!

Nie słysząc żadnej odpowiedzi, wystrzelił przed siebie. Strzał zadudnił w tunelu nienaturalnie głośno, a kula odbiła się od ściany i z brzękiem osy pognała gdzieś w dal. W odpowiedzi usłyszał przerażony krzyk Seretiuka:

— Stać! Nie strzelać! Nie strzelać! Jestem swój!

Widocznie dawny esesowiec tak bardzo odwykł od strzałów, że ten pierwszy pomieszał mu zupełnie w głowie. Myślał chyba, że strzelają do niego z przodu, a w dodatku zapomniał, że po tej stronie trzeba wołać po niemiecku. Był to chyba największy, bo ostatni w życiu błąd personalnika. Już w kilka se-

Na tropach LUDZI i ZWIERZĄT

Dokończenie ze str. 1

Kto kłusuje? Oczywiście nie robią tego ludzie zamożni, ale też zajęcie to przechodzi w nawyk, więcej, staje się namiętnością. Jak bowiem wytłumaczyć przechwałki byłego kłusownika, że miewał dnie, gdy przynosił z lasu po 6—7 zajęcy?

Do leśniczówek wchodzących w skład **Nadleśnictwa Ostrów** przynoszą ludzie znalezione w lesie wnyki. Szkolne dzieci znajdują je także, ale przede wszystkim — gajowi.

„Oni zastawiają wnyki — wy zdejmujcie" — mówię gajowym, którzy otwartą wojnę boją się z wnykarzami prowadzić. Trudno się im dziwić. Trzy dni szukaliśmy pewnego gajowego po lasach. Leżał martwy w starym okopie, przykryty gałęźmi. Było to kilkanaście lat temu, ale o takich tragediach długo się pamięta.

A przed wojną... O, przypominam sobie wiele okropnych historii. Kłusownicy mścili się na gajowych okrutnie. Dobierali się też i do leśniczych. Byłem świadkiem, gdy pewien leśniczy siedzący ze mną w kancelarii dostał przez okno kulę w pierś! Życie uratował mu rogowy guzik munduru...

Zresztą i gajowi stosowali drakońskie niekiedy metody. Znam wypadek, kiedy gajowy złapał na gorącym uczynku śledzonego od dawna zawodowego wnykarza i sidło założył mu na szyję. Pędził go z tym zaciskającym się sidłem za saniami i pokrzykiwał: „spróbuj, jak to smakuje!".

Podczas ostatniej zimy padło bardzo dużo zwierzyny. Szczególnie ucierpiały sarny. Stały czasami unieruchomione po szyję w śniegu. Śmiertelnie zmęczone i głodne — nie miały siły, by wyciągnąć ze zwałów śniegu cienkie nóżki poranione o stwardniałą śniegową skorupę... Trzeba było widzieć, jak takie stworzenie pozwalało się opatrywać. Widocznie instynktownie czuło, że dwunoga istota przynosi ratunek...

Jedną mocno poturbowaną sarnę zawiozłem do lekarza weterynarii. Leżała spokojnie, pozwalając na robienie opatrunków. Całą — wypacykowaną na fioletowo gencjaną — dostarczyłem z powrotem do lasu. Tak samo łagodnie zachowywał się koziołek, któremu na miejscu opatrzyłem otarcia na skórze.

To były jednak zupełnie wyjątkowe sytuacje. Na ogół bowiem kontakty człowiek — leśne zwierzę, nie wychodzą tym ostatnim na dobre.

Widziałem na własne oczy, jak oszalały z przerażenia potężny jeleń-byk z całej siły uderzył głową w siatkowe ogrodzenie leśniczówki, przerwał je, wpadł do sadu i runął na ziemię, rozbiwszy się o pień drzewa... Była to pora grzybów, w lesie znajdowało się dużo ludzi. Jeleń, który przecież żyje w lesie wśród drzew, nie umiał się uchronić przed zderzeniem z jabłonią czy też gruszą.

A oto inny wypadek... Dziesięć lat temu we wrześniu otrzymałem telefoniczną wiadomość z odległego o 20 km Andrzejewa, że w pobliżu wioski pokazał się dość dziwny z wyglądu zwierz. Informowano, że zwierzę jest ranne, gdyż pokłada się w polu. Wziąłem lornetkę, wsiadłem do samochodu i pojechałem. Patrzę — łoś, nie ma wątpliwości. Dwulatek wędrujący prawdopodobnie z Kampinosu.

Porozumiałem się błyskawicznie z Ministerstwem Leśnictwa: co robić? Otrzymałem polecenie: obserwować! Jadę znów, tym razem w towarzystwie lekarza weterynarii. Ale jak zbadać chorego? Musieliśmy go więc zostawić losowi, prosząc tylko o opiekę miejscową MO. Po niedługim czasie wpłynął meldunek, że łoś już nie żyje... Zrobiono sekcję — zwierzę było zgonione, zmęczone, ale ostateczną przyczyną padnięcia okazała się zaraza bydła i zwierzyny. Podobny wypadek wydarzył się koło Lubotyni. Tam byczek-dwulatek też miał jeszcze więcej obrażeń na skórze i głowie. Trudno było ustalić, czy zakatowali go ludzie czy też uciekając, przestraszony ich natarczywą ciekawością, sam się uderzył... W każdym razie padł, zagoniony na śmierć.

Tak więc zdarza się, że ludzie — nawet nie mający nic wspólnego z kłusownictwem — potrafią w swej nieświadomości wyrządzić krzywdę...

Znam te okolice dobrze, w Ostrowi kończyłem gimnazjum i wówczas spenetrowałem te lasy jako harcerz. A do zwierząt zawsze czułem słabość. Hodowałem dzięcioły, szpaki, wiewiórki. Już teraz, jako nadleśniczy, chowałem kobuza, którego przyniesiono do mnie ze złamanym skrzydłem, mam więc spore doświadczenie w tych sprawach. Uważam, że bardzo niedobrym zajęciem jest opiekowanie się np. małymi sarenkami. Nie znam właściwie wypadku, aby oswojonemu jelonkowi, czy sarnie powiodło się potem w życiu.

Zatem nie wolno ruszać małej sarenki czy zajączka, nawet jeśli wydaje się, że zwierzątko jest opuszczone przez matkę! Trzeba szybko oddalić się od tego miejsca, nie dotykać, nie głaskać. Sarenka jest w lesie bezpieczna, matka z pewnością wróci, a mała nie wydziela jeszcze specyficznej woni i nie zwietrzy jej lis. Interwencja człowieka przyniesie jej tylko szkodę...

Każdą większą wycieczkę należy zgłaszać w nadleśnictwie lub uzgadniać z leśniczym.

Rozmowę z inż. Henrykiem Gosiewskim zanotowała

ANNA GRZYBOWIECKA

LEŚNY KALENDARZ SPRZED LAT

— **„W kwietniu** śledzić gniazda wilków i młode tępić

— **W maju** wszelką zwierzynę ochraniać

— **W czerwcu** strzelać rogacze i kozły, kopać torf i bursztyn

— **W lipcu** strzelać do rogaczy i kozłów oraz do wszelkiego ptactwa wodnego i błotnego

— **W sierpniu** grzyby i orzechy zbierać

— **We wrześniu** użytkować jagody i trufle, strzelać tylko jelenie stare".

Oto fragment kalendarza leśnego na rok 1829, zamieszczony przez „Gazetę Polską" — jeden z dzienników ukazujących się wówczas w Warszawie.

Obecnie lista chronionych zwierząt jest znacznie większa i bardziej szczegółowe są też przepisy. Lista chronionych zwierząt obejmuje **384 gatunki.** Na liście tej — są m. in.: **żubr, kozica, świstak, żbik, łoś, niedźwiedź, orzeł przedni, orzeł bielik, bocian czarny, łabędź niemy, żuraw...**

SPRÓBUJ ROZWIĄZAĆ

WIRÓWKA

Dookoła cyfr wpiszcie 13 wyrazów. Początek oznaczono krzyżykiem. Kierunek wpisywania każdego wyrazu do odgadnięcia.

Znaczenie wyrazów: — 1 — rodzaj płaskiej torby do noszenia książek, papierów; 2 — jest z gumy, a chroni przed wilgocią; 3 — inaczej: zwierciadło; — 4 tajemnica, coś poufnego; 5 — w państwie krzyżackim: dostojnik zakonu rycerskiego; 6 — francuski taniec salonowy (XVIII wiek); 7 — wiejski pies podwórkowy; 8 — państwo w Europie; 9 — splot kwiatów w kształcie kolistym; 10 — obsługuje gości w restauracji i cukierni; 11 — miasto we Włoszech; 12 — stawiasz na końcu zdania; 13 — skrzynka na kosztowności, w fotografii: światłoszczelne pudełko.

Rozwiązania należy przysyłać w terminie dziesięciodniowym od daty ukazania się numeru z dopiskiem na karcie pocztowej: Spróbuj rozwiązać. Za trafne odpowiedzi będzie rozlosowanych 10 bonów książkowych po 20 złotych.

Uwaga! Redakcja nie odpisuje na listy zawierające tylko rozwiązanie rozrywek umysłowych.

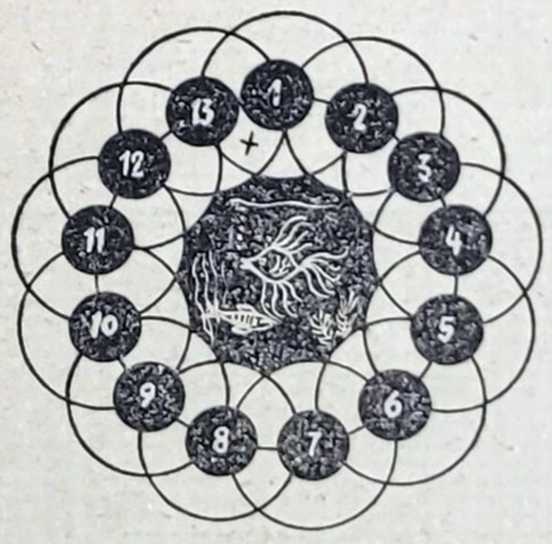

„ŚWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ Red. nacz. JERZY MAJKA, tel. 21-15-61 Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat admin. 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA I SPORTOWA" RSW „Prasa" W-wa, ul. Bagatela 14. Biuro ogłoszeń — W-wa, ul. Wspólna 61 Tel. 21-21-29 Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" W-wa, Marszałkowska 3/5 Prenumerata miesięczna zł 4.00, kwartalna zł 12.00 Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Zam. 2855. K-67 Prasy i Wydawnictw „Ruch" W-wa, ul. Towarowa 28 ADRES RED.: WARSZAWA, UL. MOKOTOWSKA 24

ogłaszam OPERACJĘ „TURNIEJ"

DZIŚ RANO W NASZEJ REDAKCJI ROZLEGŁ SIĘ DONOŚNY TREL SĘDZIOWSKIEGO GWIZDKA — JEDEN, DRUGI, TRZECI! POTEM ZE SWEGO POKOJU WYBIEGŁ W SPORTOWYM DRESIE JEDEN Z NASZYCH KOLEGÓW, GWIZDNĄŁ ZNÓW TRZY RAZY I ZAWOŁAŁ:

— OGŁASZAM OPERACJĘ „TURNIEJ"!

Zgodnie z zapowiedzią Głównego Dyspozytora LIGI NIEUSTAJĄCEJ PRZYGODY oddajemy dziś głos superszefowi OPERACJI „TURNIEJ" — Janowi Stykowskiemu:

— WITAM WAS I POZDRAWIAM NASZYM TAJNYM ZNAKIEM LIGI. MOJA OPERACJA NOSI KRYPTONIM „TURNIEJ" I ZAWIERA CZTERY ZADANIA. UWAGA, WSZYSTKIE ZESPOŁY LIGI NIEUSTAJĄCEJ PRZYGODY! UWAGA, WSZYSCY CZŁONKOWIE LNP!

Zadanie 1:

PELE NA KAŻDYM PODWÓRKU!

SKOŃCZYŁY SIĘ mistrzostwa świata w piłce nożnej w Meksyku. Ale u nas trwają nadal! Zadanie pierwsze operacji „TURNIEJ" brzmi: **przeprowadzić — od niedzieli począwszy — rozgrywki w piłkę nożną według jednego z dwóch podanych przepisów** — na każdym boisku, łące, polanie.

Nie myśl wiele, strzel jak PELE! Na boisku buduje się małą bramkę: dwa kijki wbite w ziemię w odległości 2 kroków jeden od drugiego z przeciągniętym między nimi sznurkiem na wysokości 50—60 cm. Gracze (ilość dowolna) dzielą się na dwie równe grupy, które stają dwoma szeregami w odległości 15 kroków od bramki, tak, by znajdowała się ona naprzeciw przejścia między szeregami (patrz rys. 1). W odległości 8—10 kroków od bramki narysowane jest kółko o średnicy 30—40 cm, leży w nim piłka. Gracze obu grup starają się po kolei (raz gracz jednego zespołu, raz — drugiego) wbić piłkę do bramki. Za każdego wbitego „gola" grupa otrzymuje 1 punkt. Wygrywa ta grupa, która uzyska większą ilość punktów. Należy rozegrać grę rewanżową. Gracze mają prawo kopać piłkę z miejsca lub z rozbiegu, dowolnym sposobem (wewnętrzną częścią stopy, zewnętrzną, z podbiciem, lewą nogą itp.).

To była gra dla młodszych i mniej doświadczonych piłkarzy. Teraz — coś dla „tygrysów boiska".

Nas to nie przeraża — gramy bez bramkarza! Grę przeprowadzamy na boisku o wymiarach: 30 m długości i 20 m szerokości. Linia środkowa dzieli boisko na dwa pola. Na krótszych bokach wyznacza się dwie neutralne strefy o wymiarach 5 × 3 m. Wewnątrz każdej strefy, na linii końcowej boiska ustawia się po 4 klocki drewniane (25 cm wysokości, 5—7 cm średnicy) w odległości 1 metra jeden od drugiego (patrz rys. 2). W grze, którą prowadzi sędzia, biorą udział dwa zespoły po 3—6 graczy. Podając sobie piłkę nogami gracze każdego zespołu usiłują zbliżyć się do neutralnej strefy przeciwnika i strzałami piłki zbić jego klocki. Ani atakujący, ani gracze broniący swych klocków nie mają prawa wchodzić na pole strefy neutralnej. Strefy te są więc przez cały czas wolne. **Reguły gry:** 1) Gra trwa dwadzieścia minut (2 × 10 minut) z przerwą 10-minutową, po której następuje zmiana pól. 2) W czasie gry można piłkę odbijać również głową. 3) Zespół uzyskuje punkt w wypadku: a) zbicia klocka przeciwnika, b) dotknięcia przez przeciwnika piłki na boisku ręką, c) popchnięcia przez przeciwnika któregoś z graczy zespołu własnego (brutalna gra), d) przekroczenia przez przeciwnika linii strefy neutralnej. 4) Piłkę, która wyleciała poza pole gry — wprowadza się do gry wyrzutem oburącz zza głowy z miejsca przekroczenia linii boiska. Piłkę wyrzuca jeden z graczy zespołu, na którego połowie piłka opuściła boisko. 5) Każdy zbity klocek ustawia się na miejscu przed ponownym wprowadzeniem piłki do gry.

Wygrywa zespół, który w meczu uzyskał większą ilość punktów.

Zadanie 2:

WARIACJE NA JEDEN ROWER

JEŚLI WASZA GRUPA LNP ma do dyspozycji tylko jeden rower — to i tak dobrze, jeżeli dwa — jeszcze lepiej, jeżeli trzy... Ale zadanie brzmi: **używając jednego roweru, zorganizować turniej kolarskich umiejętności.**

a) Kto pojedzie wolniej? Dystans 20 m — kto pokona tę trasę w najdłuższym czasie, tzn. najwolniej? Czas odliczamy na zegarku z sekundnikiem. Zawodnik, który spuści nogi z pedałów i dotknie nimi ziemi w czasie jazdy — powtarza proby jeszcze raz.

b) Nogi na widelcu. Rozbieg na rowerze — 5 m. Na sygnał zawodnik zdejmuje nogi z pedałów i opiera je o nasadę przedniego widelca. Kto z rozpędu przejedzie w tej pozycji przynajmniej 10 m?

c) Jazda po desce. „Deska" — to narysowane obok siebie w odległości 20 cm dwie linie długości 8 m. Kto przejedzie po „desce" nie dotknąwszy kołami żadnej z linii?

d) ...,
e) ...,
f) ...,

Te „przeszkody" wymyślcie sobie sami.

Przy wykonywaniu tego zadania polecam bezwzględnie przestrzegać następujących zasad:

- „Wariacje na jeden rower" w żadnym wypadku nie mogą być przeprowadzane na jezdni lub drodze.
- Nie wolno stosować przeszkód wymagających odrywania rąk od kierownika roweru.
- Jeden dzień poświęcić na trening. Potem — dzień przerwy. Trzeciego dnia — turniej.

Zadanie 3:

KOMETKA — GRA DZIEWCZĄT I KOSMONAUTÓW!

ROZPRZESTRZENIŁA NAM SIĘ kometka, zwana jeszcze czasem badmintonem. Grają w nią najczęściej dziewczęta. To dobrze! Ale mało kto wie, że jest to także ulubiona gra kosmonautów. **Zadanie 3 brzmi: gramy w kometkę na 1 nowe sposoby.**

Sposób I (gdy jest tylko jedna rakietka). Kolejni zawodnicy stają w kole o średnicy 2 m. Kto więcej razy odbije lotkę nie wychodząc z koła? Uwaga: należy lotkę podbijać jak najwyżej.

Sposób II (gdy także jest tylko jedna rakietka). Między dwoma drzewami lub słupkami rozciąga się sznurek na wysokości ok. 3 m. Zawodnik staje pod sznurkiem i przerzuca lotkę rakietką nad sznurkiem z jednej strony na drugą. Liczą się pojedyncze odbicia. Kto najdłużej nie „spuści"?

Sposób III (gdy są 4 rakietki). Rozgrywamy tzw. grę podwójną. Z każdej strony sznurka rozciągniętego na wysokości 4 m znajduje się paru zawodników. Zawodnicy na zmianę odbijają lotkę nad sznurkiem. Para, która pozwoli lotce upaść na ziemię, uzyskuje punkt karny.

Sposób IV (gdy jest kilka rakietek). Na obwodzie dużego koła stają zawodnicy z rakietkami. Przerzucają do siebie lotkę. Zawodnik stojący w środku koła stara się swoją rakietką odbić lotkę. Wtedy ten, czyją lotkę przechwycił, zamienia się z nim miejscami. Zawodnik stojący w środku koła może się poruszać w promieniu 2 m (patrz rys. 3).

W kometkę polecam grać choćby co dzień, o dowolnej porze. Przez cały czas trwania LATA NIEUSTAJĄCEJ PRZYGODY.

Zadanie 4:

CAŁA POLSKA NIECH GRA Z NAMI!

POLECAM WSZYSTKIM uczestnikom LNP: **rozejrzeć się dokoła, podpatrzyć, w jakie ciekawe, a mało znane gry grają koleżanki i koledzy. Przysłać do superszefa operacji „TURNIEJ" szczegółowe opisy tych gier.** Nie chodzi nam o „berka", „dwa ognie" czy „czarnego luda", to mają być gry, w które bawicie się rzadko i których opisów nie spotkaliście w książkach. „Świat Młodych" wydrukuje najciekawsze spośród nich. Autor pierwszej wydrukowanej gry otrzyma moją specjalną nagrodę. Czekam na opisy do niedzieli — 12 lipca. Proszę pisać do mnie osobiście.

Każdy członek Ligi Nieustającej Przygody, który wziął udział w wykonywaniu **przynajmniej dwóch zadań OPERACJI „TURNIEJ", ma prawo wyciąć sobie ten znaczek i nakleić w legitymacji LNP,** w kratce oznaczonej cyfrą 2.

POZDRAWIAM WAS TAJNYM ZNAKIEM LIGI!

JAN STYKOWSKI
Superszef Operacji „TURNIEJ"
Warszawa, Mokotowska 24

RYS. 1

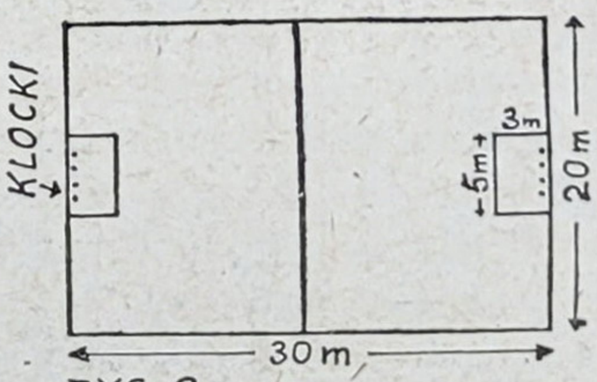

RYS. 2

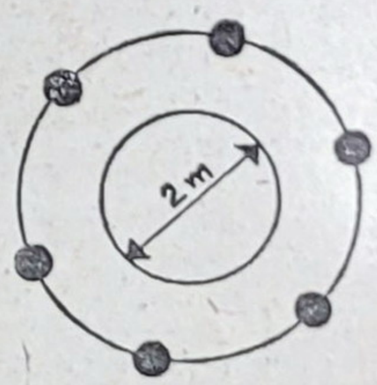

RYS. 3